

Bartosz Jastrzębski: Tradycjoniści i progresiści na kulturowej wojnie

Polsko-polska wojna kulturowa trwa w najlepsze, mało tego – staje się coraz to bardziej bezkompromisowa i brutalna. To nie tylko fenomen li tylko polityczny. W istocie chodzi tu o starcie dwóch różnych filozoficznych i moralnych światów – pisze Bartosz Jastrzębski w „Teologii Politycznej Co Tydzień”: Rewolucja czy rewolucje?

Polsko-polska wojna kulturowa (wiele wskazuje zresztą na to, iż jest to jedynie odcinek znacznie dłuższego frontu) trwa w najlepsze, mało tego – staje się coraz to bardziej bezkompromisowa i brutalna. Tylko umysł niedoświadczony i ślizgający się po powierzchni zjawisk może ją uznać za fenomen li tylko polityczny – w istocie bowiem problem jest głębszy: chodzi tu o starcie dwóch różnych filozoficznych i moralnych światów. Tak – dwóch, choć w ich obrębie możliwe są rzecz jasna różne pododmiany, typy szczegółowe oraz rozmaite formy ekspresji. Ostatecznie bowiem światy są dwa i nie ma pomiędzy nimi sfer neutralnych, ani tym bardziej nie wytworzyły one – i nie wytworzą – jakiejś wyższej syntezy. Mówiąc o dwóch światach mam oczywiście na myśli pewne zasadnicze modele rozumienia i przeżywania rzeczywistości, co nie wyklucza tego, iż w poszczególnych jednostkach mogą one sobie jakoś współtowarzyszyć, a nawet tworzyć dziwaczne hybrydy (w toku życia można również porzucić jeden z nich na rzecz drugiego – przeżyć konwersję). Dziać się tak może jednak tylko z tej racji, że indywidua te nie zdają sobie sprawy z nieuchronnej sprzeczności między owymi wzorcami. Sprawy sobie zaś nie zdają,

ponieważ nie podejmują trudu gruntownego przebadania podstaw swojego myślenia – nie mając na to na ogół ani czasu, ani ochoty, ani odwagi.

Możemy wyróżnić dwa typy myślenia: musi być ono albo tradycjonalistyczne, albo progresywistyczne, czyli skierowane ku przyszłości – zakładające (wierzące w) tak czy inaczej pojęty postęp. Pierwszy typ intelektualnego ustroju zwrócony jest ku temu, co minione, szuka odpowiedzi na zagadkę człowieczeństwa w przeszłości i tym, co ona w sobie zawiera i nam ofiarowuje – albo też przeciwnie – co właśnie zazdrośnie skrywa, zmuszając nas, współczesnych, do żmudnego odsłaniania jej tajemnic. Upływ czasu sam w sobie oraz przemiany, które na jego skutek zachodzą, witane są tedy nieufnie, bo każdorazowo wiążą się z niebezpieczeństwem utraty depozytu prawdy, która została niegdyś objawiona, czy też odnaleziona, a którą ludzie zobowiązani są chronić i zachowywać, pod groźbą utraty wszelkiego sensu i celu życia, pod groźbą zagubienia własnego człowieczeństwa. W tym ujęciu nawet Sąd Ostateczny nie jest lśniącem ukoronowaniem wzniosłej, pożytecznej i potrzebnej pracy dziejów, jak chcą progresywni chrześcijanie (a są tacy!), ale litościwym zakończeniem upadania, które zawdzięczać będziemy Boskiej Miłości, która wtargnie finalnie w nasz zepsuty moralnie i ontologicznie świat.

Z kolei progresywiści – zarówno ci jawni, jak i utajeni, chowający się w różnych „izmach” – zakładają zupełnie co innego: sądzą mianowicie, iż celem dziejów jest przewycięzanie anachronicznych, skostniałych stanów mentalnych i społecznych, a przez to krępujących życiową ekspresję. Twierdzą, że zdążamy – może pokrętnie, ale jednak – do jakichś lepszych epok rozumu, samoświadomości, powszechnej szczęśliwości, długiego i zdrowego życia, bez głodu i chłodu. Zdarzają

się i tacy, według których zmierzamy ku jakiejś zbawczej cyberbiologii, uwalniającej od nędzy nanotechniki, do totalnej wolności bądź równouprawnienia, podbojów kosmicznych, do biologicznej nieśmiertelności, ostatecznego oświecenia *lumen naturale* i ziszczenia pełni wiedzy. Nakreślona tu różnorodność czasem można prześlepić fakt, iż chodzi tu w gruncie rzeczy o jedną intelektualną postawę. Bo jest to właśnie jedna postawa: każdy, kto wierzy w „lepsze jutro” – bez względu na to, jak sobie ową „lepszość” definiuje, jakim futurystycznym fantazjom ulega – musi się w znaleźć w obrębie tego paradygmatu. Nie będzie się więc taki duch oglądał za siebie, bo przeszłość traktuje jako dość kłopotliwy i godzien porzucenia (przewyciężenia, transgresji) spadek. Co więcej, złym okiem będzie spoglądał na tych, co tak czynią, co rozmiłowani są w tym, co dawne, jako na element hamujący i wsteczny, a przez to szkodliwy; jako na mentalnie zablokowanych neurotyków, chowających się w marzenia o przeszłości w lęku przed teraźniejszością i przyszłością. Progresywiści oczywiście chcą dobrze – naprawdę sądzą, że pracują nad tym, by poprawić (w wariacie realistycznym i ewolucyjnym) lub nawet „zbawić” (w wariacie rewolucyjno-utopijnym) świat.

Otóż więc i owe dwa główne modele – *tertium non datur*. Niepodobna bowiem sądzić, iż świat, *in toto*, trochę się rozwija, a trochę się „cofa”. Wzięty w całość musi się odstąpić jako zmierzający do wyższych jakichś swoich stanów (wtedy rację mają progresywiści), bądź przeciwnie, ulegający degradacji ontologicznej i moralnej, przed którą co najwyżej możemy go starać się jakoś chronić lub przynajmniej ją spowalniać (wtedy w prawdzie są tradycjoniści). A zatem nie tylko świat cząsteczek i energii ulega entropii, ale w jeszcze większym stopniu zagraża ona światu ducha. Im dalej jesteśmy od duchowego „wielkiego

wybuchu” Wcielenia, tym w większym stopniu zagraża nam chłód, degeneracja i oddalanie się od źródła bytu. Doświadczają tego najsilniej ci, którzy programowo się tego źródła odwracają.

Wydaje się przy tym, że progresistów jest znacznie więcej, że tradycjoniści to jakieś egzotyczne, ginące plemię, co więcej, ginące słusznie i zbawiennie, jako że przeciwstawiające się „naturalnym prawom rozwoju”. Cóż, może istotnie jest ich więcej – wszak od przeszło dwóch stuleci trwa lewicowa rewolucja, której niszczących skutków dostrzec do dziś wielu nie chce – co najlepiej może świadczy o tym, jakie spustoszenia zdążyła poczynić. Sądzę również, że niejednokrotnie tradycjoniści nie chcą wyznać swej „wiary” nawet przed samymi sobą, z obawy przed ostracyzmem i oskarżeniami o „wsteczność”, „defetyzm”, „kruchotę”, „neurozę”, kompulsywne „zamknięcie”, „mizantropię”, „pesymizm” i temu podobne. Źle komponuje się też tradycjonalizm z politycznymi salonami i grantami naukowymi. Nie najlepiej wypada w mediach i na konferencjach politologicznych czy socjologicznych. Bo przecież – ogólnie biorąc – należy być na nich nowatorskim i oryginalnym. Za to otrzymuje się różne potrzebne punkty, a z czasem mogą się trafić i synekury. Nieważne czy coś jest naprawdę mądre – ważne czy jest nowe, bo przecież musi być coraz to nowe, jeśli mamy nadażyć za postępem. I tak na przykład, w różnorodnych recenzjach akademickich do mdłości wypełniamy rubrykę: „w jakim stopniu praca stanowi nowe ujęcie problemu...”. A dlaczegożby rubryka ta nie miała brzmieć: „w jakim stopniu praca prezentuje stare, dobre, sprawdzone i uświęcone tradycją ujęcie”? Dlaczegożby nie tak?

Z tego jednego podziału na tradycjonalistów i progresistów wywieść można cały szereg cech obu przeciwstawnych modeli. Nie dość miejsca jednak na to w tym krótkim szkicu. Dość za to, aby powiedzieć, iż są one nieuchronnie nieuzgadnialne, ponieważ generują całkowicie inne sposoby ujmowania zjawisk i ich etycznej oceny. Nie oznacza to, iż zawsze są one w ostrej fazie konfliktu – dualizm ów może być w pewnych społecznych okolicznościach uspiiony, rozleniwiony i pozbawiony energii, a przez to słabo widoczny – ale on jest. Dziś, w Polsce, dzieje się jednak inaczej. Chcę wskazać, iż dualizm ów leży u podstaw obecnych płomiennych debat, sporów i kłótni, które w związku z tym są sporami paradygmatów, a więc z natury rzeczy pozostają konfliktami nierozwiązywalnymi, a przez to też niekończącymi się. Pragnę też pokazać, iż człony owej opozycji, choć formalnie równorzędne – nie są takie jeśli chodzi o prawdę materialną.

Tematami, które w ostatnich dniach w szczególny sposób przykuwały uwagę mediów i ich użytkowników były dwa wydarzenia artystyczne: premiera spektaklu *Klątwa* w reżyserii Olivera Frlijicia oraz premiera filmu *Pokot* Agnieszki Holland. Nie zamierzam ich tu ani streszczać, ani recenzować. Te produkcje są jednak dla mnie o tyle ciekawe, iż w ferworze wspomnianej na początku kulturowej wojny, obie w sposób drastyczny wręcz odsłaniają ów dualistyczny fundament naszego mentalnego uniwersum. Obie bowiem w szczególnie bezkompromisowy, jednoznaczny, a miejscami zajadły i histeryczny sposób atakują wszystko to, co dawne – a więc atakują kulturę; ta jest bowiem wyrazem ciągłości konkretnych wspólnot historycznych. W przypadku Polski fundamentem kultury i społecznego ładu jest od tysiąca lat religia chrześcijańska oraz głoszący ją Kościół katolicki. Co do tego nie ma najmniejszych wątpliwości i zgodzić z tym muszą nawet ci, którzy specjalnej sympatii do nich nie żywią. Przez ostatnie tysiąc

lat to właśnie wokół katolicyzmu krystalizowała się tożsamość polska, to on zaopatrywał ją w żywotne soki i to nawet tam, gdzie ujawniały się niebłahе napięcia – polityczne i kulturowe – pomiędzy rzeczywistościami państwa i Kościoła. Czy się więc to komu podoba czy nie, katolicyzm krąży tak głęboko w krwiobiegu polskości, że usunąć się go z niego żadną miarą nie da – chyba, że usuniemy cały ten krwiobieg. I taki właśnie zamiar ujawniają bez skrępowania twórcy wspomnianych dzieł filmowych i teatralnych: chcą, by polskość po prostu znikła. Znikła ponieważ skrywa w sobie esencjalne zło, a w dodatku jest estetycznie niestrawna, prymitywna i drapieżna, żeruje na pastwieniu się nad słabszymi, jest zapijaczona, wsteczna i brutalna, pełna hipokryzji i ledwo skrywanego moralnego brudu, jest po prostu ciemna i obskurancka. A polskość taka jest, bo taki jest też katolicyzm, który ją zrodził – najoczywistszą tę odpowiedź podsuwa współczesna, świecka i postępową wrażliwość społeczna. Oczywiście pojawiają się tu niekiedy różnorakie elukubracje o „nowej polskości”, „nowym patriotyzmie”, a nawet „nowym katolicyzmie” – i co tam jeszcze nowego zechcemy sobie dorzucić – ale nie przekonują one chyba nawet ich autorów. Co jednak ciekawe, to właśnie ów kompulsywny nacisk na nowość, „lepszość”, aktualność, domniemaną adekwatność do warunków i przemian. To pozwala nam umieścić owych artystów – oraz ich fanów – pośród wspomnianych wyżej progresistów. Należą oni do świata, który odrzuca przeszłość, a nawet jej nienawidzi, postrzegając ją jako czynnik hamujący, intelektualnie ułomny, nietwórczy, smętny. Wierzy się tu natomiast w postęp: w lepszą polskość, w lepszą przyszłość, a film Agnieszki Holland kończy się nawet czymś w rodzaju modlitwy o lepszą religię (*New Age*). Należy więc obnażyć i zniszczyć pozostałości starej kultury, bo walka z nią to walka ze złem, które się w niej podstępnie ukrywa. Nowa – a jakże! – oświecona blaskiem współczesnej „soteriologii” społecznej elita musi wskazać drogę ku „przepoczwarczeniu” tradycyjnego, a więc skażonego złem religii i przywiązania do dawnych form kulturowo-społecznych ludu – w Nowy

Lud równości, sprawiedliwości i braterstwa. Albowiem – jak raczył to ująć jeden lewicowych publicystów lud, ten od grillów, biesiad, disco polo i kościoła w niedzielę, jest wprawdzie „już ucłowieczony, ale jeszcze nie cywilizowany”. Trzeba go więc ucywilizować – to cel na (światłą) przyszłość, to zadanie dla naukowców, artystów, publicystów, nauczycieli i dziennikarzy.

Wielu współczesnych chce uciec od źródła. Chcą mknąć do przodu, paląc za sobą mosty – te bowiem są zbyt reakcyjne, dyskretnie kusząc możliwością powrotu. Złoszczą się przy tym bardzo na tych, którzy biec nie chcą, a już na pewno nie do przodu, bo tam – w ich przekonaniu – żywa woda wsiąka w końcu w jałowe piachy współczesności niczym Okawango w żółtych wydmach Kalahari. Są też tacy, którzy odkrywają dla siebie i świata inny kierunek: chcą iść wstecz do źródła, skąd bije woda żywa. Tam odnajdują prawdę i sens. Rozwój dopuszczają zaś tylko w dziedzinie ducha i moralności. W Królestwo Boże na ziemi nie wierzą, wierzą natomiast w zachowywanie pradawnego ładu Natury i respekt wobec niezmiennej istoty człowieka. „Z przodu” zaś nic nie ma, po cóż więc tam iść?